

**Stefan Żeromski**

# **Siłaczka**

**ZixO** Reader

W nienajlepszym humorze powrócił do domu doktor Paweł Obarecki z winta, za którego pośrednictwem składał uroczyście życzenia księdzu plebanowi wraz z aptekarzem, pocztarzem i sędzią w ciągu ośmiu godzin z rzędu. Powróciwszy drzwi gabinetu zamknął tak szczelnie, aby się do niego nikt, nie wyłączając dwudziestoczworoletniej gospodyni, wedrzeć nie mógł — usiadł przy stoliku i wpatrywał się przede wszystkim z uporem w okno, bez żadnego zresztą wyraźnego powodu, następnie zaś zajął się bębnieniem palcami po stole. Czuł najwyraźniej, że opanowywać go zaczyna metafizyka...

Wiadomą jest rzeczą, że człowiek kultury, wyrzucony przez pęd odśrodkowy niedostatku z ogniska życia umysłowego do Klwowa, Kurozwęk lub — jak doktor Obarecki — do Obrzydłówka, podlega z upływem czasu, wskutek dżdżów jesiennych, braku środków komunikacji i absolutnej niemożności mówienia w ciągu sezonów całych — stopniowemu przeistaczaniu się w twór mięsożerno-roślinożerny, wchłaniający nadmierną ilość butelek piwa i poddany atakom nudy, osłabiającej aż do takiego stanu, jaki graniczy z usposobieniem poprzedzającym wymioty. Zwyczajną nudę małomiasteczkową połyka się bezwiednie, jak bezwiednie zając połyka jajka tasiemca rozproszone na trawie przez psy. Od chwili zagnieżdżenia się w organizmie bąblowca: „Najzupełniej mi jest wszystko jedno” — zaczyna się właściwie proces umierania.

Doktor Paweł, w epoce jego życia, o której mówię, zjedzony był już przez Obrzydłówek wraz z mózgiem, sercem i energią — zarówno potencjonalną, jak i kinetyczną. Doświadczał nieprzewyciężonego wstępu do czytania, pisania oraz rachowania, mógł całymi godzinami spacerować po gabinecie lub leżeć na szeszlunku choćby z niezapalonym papierosem w zębach, w tęsknym, dokuczliwym i bolesnym niemal oczekiwaniu na coś, co się stać musi, na kogoś, kto musi nadejść, mówić cokolwiek, choćby kozły przewracać, w natężonym wsłuchiowaniu się w szmery i szelesty zwiastujące przerwanie ciszy, która dławi i przygniata niejako do ziemi. Szczególniej dokuczała mu zazwyczaj jesień. W ciszy jesiennego popołudnia, zalegającej Obrzydłówek od przedmieścia do przedmieścia, było coś bolesnego, coś, co poduszczało do wołania o pomoc. Mózg, opleciony niby miękkim przedziwem pajęczyny, wypracowywał myśli czasami niesłychanie pospolite, a niejednokrotnie — stanowczo do niczego niepodobne.

Gwizdanie i dysertacje z gospodynią, raz przyzwoitsze (o niesłychanej np. wyższości pieczonego prosięcia nadzianego kaszą tatarską, rozumie się: bez majeranku, nad takimże prosięciem nadzianym innymi substancjami), kiedy indziej zaś ohydnie nieprzystojne — stanowiły jedyną rozrywkę. Wytoczy się, bywało, na połowę niebios chmura z potwornymi odnogami w kształcie łap tytanicznych i bury jej kłęb zawisnie bezwładnie, nie mogąc rozwiązać się w przestwór i grożąc zawaleniem się na Obrzydłówek i dalekie, puste pola. Od chmury tej leci niesiona przez wiatr ukośnie mgła kropelek, które osiadają na szybach w postaci kryształków, sprawiając w szumie wiatru szelest odrębny a przejmujący, jakby obok, gdzieś za węglem domu łkało dziecko dobywające resztki jęku. Daleko na miedzach stoją

pozbawione liści, samotne gruszki polne, miotają się ich gałęzie, deszcz je siecze... Myśl zbierała z tego krajobrazu smutek, w którym było coś chronicznie kataralnego — i mglisto, niejasno, bezwiednie wyczuwaną trwogę. Ten właśnie nastrój kataralno-melancholijny stał się nastrojem dominującym i rozciągał się na sezony letnie i wiosenne. Zagnieździł się w duszy doktora smutek zjadliwy a nie mający żadnej podstawy. Za nim nadsięgnęło lenistwo nieopisane, lenistwo zabójcze, wytrącające z rąk ofiary nawet nowe Alexisa.

„Metafizyka”, jakiej doktor Paweł doświadczał ostatnimi czasy raz, czasami dwa razy do roku — to kilka godzin świadomego samobadania bystro, z szaloną gwałtownością napływających wspomnień, niecierpliwego zbierania strzępów wiedzy, szamotania się, graniczącego z wściekłością, szlachetnych porywów przywalonych gliną bezczynności, rozmyślań, wybuchów goryczy, postanowień niezłomnych, ślubów, zamiarów... Wszystko to, rozumie się, nie prowadziło do żadnej zmiany na lepsze i przemijało, jako pewna miara czasu mniej więcej dotkliwego cierpienia. Z „metafizyki” można się było wyspać jak z bólu głowy, by wstać nazajutrz z umysłem odświeżonym, energiczniejszym i uzdolnionym lepiej do podjęcia zwyczajnego jarzma nudów oraz zużywania wszystkiej energii mózgu na wymyślanie najsmaczniejszego jadła. Endemia „metafizyki” wskazywała jednak naszemu doktorowi, że w jego egzystencji roślinnej, najedzonej, niejako nasyconej filozofią mocnego, zdrowego rozsądku, kryje się jakaś rana nieuleczalna, niewidoczna, a dolegająca nad wyraz, niby ranka nad próchniejącą kością.

Doktor Obarecki przybył do Obrzydłówka przed sześcioma laty, zaraz po ukończeniu studiów, z umysłem rozwidnionym zorzą niewielu wprawdzie, ale nadzwyczajnie pożytecznych myśli, tudzież z kilkoma rublami w kieszeni. Mówiono podówczas bez przerwy o konieczności osiedlania się w lasach i Obrzydłówkach. Posłuchał apostołów. Był śmiały, młody, szlachetny i energiczny. W pierwszym zaraz po osiedleniu się miesiącu wydał niebacznie wojnę aptekarzowi i felczerom miejscowym, uzdrawiającym za pomocą środków wkraczających w dziedzinę misteryj. Aptekarz obrzydłowski „eksploatując sytuację” (do najbliższej apteki przez cywilizację obdarzonej miejscowości było mil pięć) — nakładał haracz na jednostki pragnące powrócić do zdrowia dzięki jego olejom, balwierze zaś wybudowali, trzymając się z farmaceutą za ręce, wspaniałe domostwa; w kacabajach niedźwiadkami podbitych chadzali, zachowując na obliczach wyraz takiej powagi, jak gdyby w każdej chwili żywota prowadzili księdza plebana na procesji Bożego Ciała.

Gdy delikatne i ogniste perswazje, skierowane do farmaceuty, a wypowiedane patetycznie z rozmaitych „punktów widzenia”, traktowane były jako idylle młodzieńcze i skutku żadnego nie odniosły — doktor Obarecki uzbierawszy nieco grosza kupił apteczkę podręczną i zabierał ją ze sobą jadąc do chorych na wieś. Sam przygotowywał na miejscu lekarstwa, udzielał ich za bezcen, jeżeli nie za darmo, uczył higieny, badał, pracował z fanatyzmem, z uporem, bez snu i odpoczynku. Rzecz prosta, że natychmiast po rozejściu się wieści o apteczkach przenośnych, udzielaniu pomocy za darmo i tym podobnych punktach widzenia — wybito mu wszystkie szyby, jakie istniały w ubogim mieszkaniu. Ponieważ zaś Boruch Pokoik, jedyny szklarz w Obrzydłótku, odprawiał w owym czasie święto Kuczek — trzeba było okna wykleić bibułą i czuwać nocą z rewolwerem w prawicy. Wprawione wreszcie szyby wybito powtórnie i wybijano je odtąd periodycznie, aż do chwili sprawienia dębowych okiennic. Rozpuszczono między ludnością miasteczka wieść, jakoby młody doktor obcował z duchami ciemności, oczerniono go w opinii inteligencji okolicznej jako niesłychanego nieuka,

odciągano przemocą chorych zmierzających do jego mieszkania, wyprawiano w majowe wieczory kocie muzyki itp. Młody doktor nie zwracał na to wszystko uwagi, ufając w zwycięstwo prawdy.

Zwycięstwo prawdy nie nastąpiło. Nie wiadomo dlaczego... Już po upływie roku doktor poczuł, że jego energia staje się z wolna „dziedzictwem robaków”. Zetknięcie bliskie z ciemną masą ludu rozczarowało go nad wyraz: jego prośby, namowy, istne prelekcje z zakresu higieny upadały jak ziarna na opokę. Robił, co tylko mógł — na próżno! Szczerze mówiąc — trudno nawet wymagać, aby człowiek nie mający butów na zimę, wygrzebujący w marcu z cudzych pól zgniłe, zeszłoroczne kartofle w celu czynienia sobie z nich podplomyków, mielący na przednówku korę olszową na mąkę, aby tej domieszać do zbyt szczupłej miary mąki żytniej, gotujący kaszę z niedojrzałego ziarna, nabranego o świcie „sposobem kradzionym” — mógł zreformować w sensie dodatnim zaniedbane zdrowie swoje pod wpływem choćby najzrozumialej wyłożonych praw zdrowotności.

Nieznacznie doktorowi zaczęło być „wszystko jedno”... Jedzą zgniłe kartofle — cóż począć — niechaj jedzą, jeżeli im smakują. Mogą nawet jadać surowe — to trudno...

Ludność żydowska miasteczka leczyła się u marzyciela, ponieważ nie odstraszały jej duchy ciemności, a zachęcała nadzwyczajna taniość medycyny.

Pewnego pięknego poranku doktor skonstatował, że ów płomyczek nad jego głową, z którym tu przyszedł i którym chciał rozwidnić drożynę swoją — zgasł. Zgasł sam przez się: wypalił się. Wówczas apteczka podręczna została na klucz do szafy zamknięta i doktor sam jedynie z niej korzystał.

Co za męczarnia jednak dać się pokonać farmaceucie i balwierzom, ustać i zakończyć wojny obrzydłowskie zamknięciem apteczki do szafy.

Zwycięzcami mają prawo się okrzyknąć i zbierać łupy, lecz nie oni go pokonali: sam się pokonał. Zadusił proste i wysokie myśli i uczynki może dlatego, że się w jadło zbyt mocno wdawać zaczął — dość, że zadusił. Coś tam jeszcze robił, leczył myśląc — nie miał już jednak nikt z całej jego ówczesnej „działalności” za pół papierosa pożytku.

W okolicznych siedzibach pańskich przemieszkiwali dziwnym zbiegiem okoliczności sami troglodcyi „z dziada pradziada”, którzy doktorów w ogóle traktowali w sposób cokolwiek niewspółczesny. Jednemu z nich złożył doktor Paweł wizytę, co było pomysłem chybionym, ponieważ troglodyta przyjął go u siebie w gabinecie, siedział podczas wizyty w kamizelce i jadł spokojnie szynkę krając ją scyzorykiem. Doktor poczuł w sobie napływ ducha demokratyzmu, powiedział pół-hrabi coś cierpkiego i nie składał więcej wizyt w okolicy.

Pozostał tedy do wymiany myśli ksiądz proboszcz i sędzia. Obcować jednak zbyt często z plebanem — markotnie jest nieco; sędzia zaś był człowiekiem mówiącym rzeczy, których zupełnie nie można było pojąć — pozostała tedy właściwie samotność. Aby uniknąć złych następstw absolutnego przebywania z samym sobą, usiłował zbliżyć się do przyrody, odzyskać spokój, harmonię wewnętrzną ducha, poczucie siły i odwagi, wynalazłszy te żelazne ogniwa, jakie człowieka zespalają z przyrodą. Żadnych jednak ogniw żelaznych nie odnalazł, pomimo że błąkał się po polach, docierał nawet do poręb w lesie i zagrzał pewnego razu w bagnie na pastwisku.

Płaski krajobraz otaczało zewsząd sinawe pasmo lasu. Bliżej, na wydmuchach szarego piasku, rosły samotne chojaki, a naokół ciągnęły się nie wiedzieć do kogo należące zagony. Pastwiska porośłe „kozicą” i żółtawymi trawami, umierającymi przedwcześnie, jakby do rozwoju gałączek zieleni w ich pędach zabrakło światła — stanowiły jedyne upiększenie Obrzydłówka. Zdawało się, że słońce oświetla to pustkowie po to jedynie, aby okazać jego bezpłodność, nagość i posepność...

Brzegiem drogi, pokrytej brudnym piaskiem, porytej wybojami i wygradzonej ruinami płotu, włókł się codziennie biedny doktor z parasolem... Droga ta nie prowadziła, zdawało się, do żadnych osad ludzkich, rozszczepiała się bowiem wśród pastwiska na kilkanaście ścieżek i ginęła między kretowiskami. Zjawiała się znowu dopiero na szczycie wydmy piaszczystej w postaci dwu trójkątnych wyżłobień w piasku i szła w las karłowatych sosenek.

Jakaś niecierpliwa złość ogarniała doktora, gdy patrzył na ten krajobraz, i pożerała mu spokój nieokreślona obawa...

Lata upływały. Zarządzono z inicjatywy księdza plebana zgodę między aptekarzem a doktorem, gdy skonstatowano dodatnie zjawisko „ochłonięcia” tego ostatniego. Antagoniści zaczęli odtąd wspólnie orać w wincie, choć doktor z obrzydzeniem zawsze patrzył na farmaceutę. Stopniowo i obrzydzenie nieco się zmniejszyło. Zaczął chodzić z wizytą do aptekarza i emablować jego żonę. Pewnego razu przeraził się nawet wynikiem analizy własnego serca, która okazała, że zdolnym jest do platonicznego rozmiłowania się w pani aptekarskiej, damie tepej umysłowo jak siekierka do rąbania cukru, gotowej dać się ukrzyżować za przekonanie, zupełnie nawet bezzasadne, że jest wiotką, powabną i niebezpieczną, i opowiadającej z przedziwnym zapałem, a bez przerwy, o grzechach głównych swojej pokojówki. Słuchał doktor Paweł całymi godzinami wymowy pani Anieli, zachowując na obliczu uśmiech, jaki oglądać można na ustach młodzieńca emablującego grono pięknych dam w chwili, gdy mu najstraszliwiej dokucza ból zębów.

Do czynów bohaterskich w zakresie demokratyzacji w Obrzydłówniku pojąć, choćby w imię znośniejszego przepędzania czasu, nie był już zdolnym. Za żadną cenę nie byłby składał wizyt rzeźnikom, jak to zamierzał swojego czasu, jeżeli mógł rozmawiać, to jedynie z ludźmi będącymi w jakiej takiej kulturze.

Wówczas to nie tylko już energia uległa zniszczeniu — znikło i poszanowanie dla wszelkiej myśli szerszej. Z wielkich widnokręgów, ledwie dających się zmierzyć rozmarzonymi oczyma, został widnokrąg tak dalece mały, że można go było zakreślić końcem modnego kamaszka. Na rozbrzmiewające po artykułach szukanie „prawdy jasnego promienia i nowych, nieodkrytych dróg” zapatrywał się w początkach umierania z goryczą, żalem, zawiścią, następnie — z ostrożnością człowieka mającego pewien zasób doświadczenia, później z niedowierzaniem, wkrótce potem z półuśmiechem, potem ze zdecydowanym lekceważeniem, a koniec końców nie zapatrywał się wcale, ponieważ było mu najzupełniej wszystko jedno. Leczył według wskazówek rutyny, praktykę jaką taką wyrobić sobie zdołał, przywykł jakoś do Obrzydłówka, do samotności, do nudy nawet, do prosiąt pieczonych, i nie kwapił się bynajmniej do ogniska życia umysłowego.

Zasadą, do której, niby do wspólnego mianownika, sprowadziły się czyny i myśli doktora Obareckiego, stała się ta: — dawajcie pieniądze i wynoście się...

A jednak w chwili, gdy siedział po powrocie z imienin księdza proboszcza, zajęty bębnieniem palcami po stole, „metafizyka” opanowywała go z dawną siłą. Już podczas jakiejś szóstej godziny wintowej doktor czuł się niedobrze. Wywołał to aptekarz znowu, który zaczął ni z tego, ni z owego studiować Historię powszechną Cezara Cantu (w przekładzie Leona Rogalskiego) i wyrobiwszy w sobie bardzo radykalny pogląd na działalność Aleksandra VI w bezwyznaniowość jakoby popadł.

Doktor Obarecki wiedział aż nadto dobrze, dlaczego farmaceuta dysputami destrukcyjnymi rozbiewia księdza proboszcza; przeczuwał, że są to preludia do zbliżenia się, zaprzyjaźnienia na mocy jedności poglądów... Przeczuwał, że odwiedzi go kiedykolwiek, będzie, z daleka zachodząc, wskazywał umiejętnie na brak kapitału, źródło „stagnacji”, a zniżywszy loty do spraw obrzydłowskich wykaże, ile by oni dwaj, trzymając się za ręce, korzyści społeczeństwu przynieśli: jeden pisaniem recept na łokcie, drugi eksploatowaniem sytuacji... Kto wie — może zaproponuje szczerze i otwarcie, „nóżki kładąc na stół”, założenie czysto wekslowej spółki, której celem będzie wspólne maszerowanie w tonie gnojówki. Przeczuwał także doktor, że nie będzie miał siły do zakończenia propozycji aptekarzowych nakręceniem mu z lekka kości policzkowej, ponieważ nie wiedzieć w imię czego kość tę nakręcać... Przypuszczał nawet, że spółka ta stanie — któż wie... Gorycz zalała mu serce. Co się stało, jakim sposobem aż dotąd zaszedł, dlaczego nie wyrywa się z tego błota, czemu jest leniuchem, marzycielem, refleksjonistą, psowaczem własnych myśli, karykaturą wstrętną samego siebie?

I zaczęło się, podczas wpatrywania się w okno, nadzwyczajnie szczegółowe, pilne, badawcze bezlitośnie i subtelne oglądanie własnej bezsilności. Śnieg padał wielkimi płatkami, przesłaniając smutny krajobraz zimową mgłą i zmrokiem.

Chimeryczną a bezpłodną gonitwę myśli przerwały nagle wykrzykniki gospodyni, usiłującej przekonać kogoś, że doktora w domu nie ma. Doktor jednak wyszedł do kuchni, aby rozzerwać pasmo męczących go myśli.

Ogromny chłop w żółtym kozuchu zmiotł „wściekłą czapą” pył spod jego nóg w głębokim pokłonie, odgarnął pięścią włosy z czoła, wyprostował się i zamierzał rozpocząć orację.

— Czego? — zapytał doktor.

— A to, wielmożny doktorze, sołtys mię tu przysłał...

— Po co?

— A po wielmożnego doktora.

— Kto chory?

— Nauczycielka ta u nas we wsi zachorzała, sparło ją cośi. Przyszedł sołtys... Jedźcie, pada, Ignacy, do Obrzydłówka po wielmożnego doktora. Może, pada...

— Pojadę. Konie dobre?

— A konie ta, jak konie: śwarne gady.

Podobała się doktorowi myśl jazdy, zmęczenia się, choćby nawet niebezpieczeństwa. Wdział z nagłym ożywieniem grube buty, kozuszek, futro i wyszedł przed dom. „Gady” chłopskie niewielkie były, ale okrągłe, wypasione — wasąg olbrzymi na saniach, słomą wyładowany i okryty kilimkiem. Zanurzył się w słomę, otulił, chłop przysiadł bokiem na przednim siedzeniu, odmotał parciane lejce z kłonicy, konie zaciął. Pomknęli.

— Daleko to? — zagadnął doktor.

— Będzie ta może ze trzy mile, może nie ma...

— Nie zbłądzisz?

Chłop obejrzał się z uśmiechem ironicznym.

— Któż... ja?

Wiatr dał w polu przejmujący. Niekute, ukośne, ledwo ociosane siekierą sanice wrzynały się w głęboki, świeżo spadły śnieg, odwracając na bok białe jego skiby. Drogę zanosło.

Chłop „wściekłą czapę” na bok przechylił i zaciął konie. Doktor czuł się dobrze. Minawszy lasek, który zdawał się tonąć w śniegu, wyjechali na pusty, bezludny przestwór, oprawny w

ramy lasu, ledwie widzialnego na krańcu widnokregu. Zmrok zapadał, powlekając ten nagi i surowy obraz pustkowia niebieskawym kolorytem, który ciemniał nad lasem. Grudki zbitego śniegu wyrzucane kopytami koni przelatywały koło uszu doktora. Nie wiedzieć czemu chciało mu się stanąć na saniach i wołać po chłopsku, z całych sił w ten głuchy, niemy, nieskończony przestwór, urzekający ogromem jak przepaść. Nachylała się szybko noc dzika i ponura, noc pól niezamieszkanymi.

Wiatr się wzmógł, dał jednostajnie, z hukiem przechodzącym od czasu do czasu w głuchoe largo; śnieg zacinał z boku.

— Strzeżcie drogi, gospodarzu, bo może być źle — zauważył doktor kryjąc nos w futro.

— A no, maluśkie! — wrzasnął chłop na konie zamiast odpowiedzi.

Głos ten ledwo już można było dosłyszeć w wichrze. Konie biegły w cwał.

Zamieć rozszalała się nagle. Bałwanami miotać się począł wicher, uderzał w sanie, skowyczał między sankami, tłumił oddech. Słychać było parskanie koni, lecz ani ich, ani furmana doktor nie mógł dostrzec. Kłęby śniegu, zdzierane z ziemi przez wiatr, leciały jak stado koni i słychać było niby tętent ich tytanicznych skoków; chwilami wywierało się z ziemi piekło huku i szła ta melodia uderzać wszystką potęgą tonów w chmury, łamać je i upadać nagle z łoskotem. Wtedy rozpryskało się w puch posłanie śniegowe i otaczało podróżnych naszych wirującymi słupami. Wydawało się, że jakieś potwory zataczają w szalonym tańcu olbrzymie koła, że doganiają z tyłu, zabiegają z przodu, z boku i sypią po szczypcie śniegu na sanie. Gdzieś, najwyżej, w zenicie, uderzał niby wielki, rozkołysany dzwon przeciągle, głucho, jednostajnie.

Doktor poczuł, że nie jadą już po drodze; sanie posuwały się z wolna, uderzając końcami sanic o grzbiety zagonów.

— Gospodarzu — zawołał z trwogą — a gdzie my jesteśmy?

— Jadę polem do lasu — odpowiedział chłop — w lesie ciszej będzie... pod samą wieś lasem zajedziemy...

Rzeczywiście wiatr wkrótce ucichł i dawał się słyszeć tylko huk podniebny i trzask łamiących się gałęzi. Na czarnym tle nocy majaczyły osypane śniegiem drzewa. Prędzej jechać nie było można, drożyna bowiem leśna, zavalona zaspami, przeciskała się wśród pniaków i gałęzi. Nareszcie po upływie jakiejś godziny, podczas której doktor szczerze namartwił się i naobawiał, dały się słyszeć powtarzające się głuchoe odgłosy: — psy szczekały.

— Nasza wieś, wielmożny panie...

Zamigotały światełka w oddali, podobne do chwiejących się w różne strony punkcików, dym zapachniał.



— Nuże, małe! — zawołał wesoło na konie woźnica, rozgrzewając się za pomocą obijania boków pięściami.

Za chwilę mijali pędem szereg chat, do strzech zasypanych śniegiem. Na tle szyb zamarzniętych okien, od których padały na drogę kręgi światła, rysowały się cienie głów.

— Wieczereżę ludzie jedzą... — bez żadnej potrzeby zauważył chłop, przypominając doktorowi czas wieczery, której spożywać dnia tego nie miał nadziei.

Konie zatrzymały się przed jakimś domostwem: chłop wprowadził doktora Pawła do sieni i znikł. Namacawszy kławkę doktor wszedł do małej, nędznej izby, oświetlonej kagankiem naftowym.

Zgrzybiała i zgarbiona jak rączka parasola kobiecina ujrzawszy go zerwała się z łóżka, poprawiła chustkę na głowie i jęła mrugać powiekami, a wytrzeszczać czerwone oczy ze złe tajonym przerażeniem.

— Gdzie chora? — spytał. — Samowar macie?

Stara w przerażeniu swym do słowa przyjść nie mogła.

— Samowar macie? Herbaty możecie mi zrobić?

— Jest ten ta samowar... jeno cukru...

— Masz tobie! Cukru nie ma?

— A nie ma... chybaby Walkowa mieli, bo to panienska...

— Gdzież ta wasza panienska?

— A dy w stancyi nieboga leży.

— Dawno chora?

— Pokładała się to ta już ze dwie niedziele, a teraz ani ręką, ani nogą. Ścisnęło i pokój.

Uchyliła drzwi do izby sąsiedniej.

— Zaraz! Ogrzać się muszę — zawołał gniewnie doktor, zdejmując futro.

Ogrzać się w tej norze nie było trudno: z pieca rozchodziło się takie gorąco, że doktor co prędzej wsunął się do pokoju „panienki”. Małą tę i nadzwyczajnie ubogą izdebkę oświetlała lampa przyćmiona, stojąca na stole obok wezglowia chorej. Rysów twarzy nauczycielki nie

można było rozeznąć, gdyż padał na nie cień jakiejś dużej księgi. Doktor zbliżył się ostrożnie, lampę rozświetlił, usunął książkę i przyglądać się zaczął pacjentce. Była to młoda dziewczyna, pogrążona we śnie gorączkowym. Szkarłatem była powleczonej jej twarz, szyja, ręce — na tle tym znać było jakąś wysypkę. Jasnopopielate, niezmiernie bujne włosy leżały poplątanymi pasmami na poduszce, wiły się na twarzy. Ręce bezwiednie i niecierpliwie szarpały kołdrę.

Doktor Paweł pochylił się aż do samej twarzy chorej i zaczął nagle mówić głosem, który przecinało i dusiło przerażenie:

— Panno Stanisławo, panno Stanisławo, panno Stanisławo...

Chora leniwie i z wysiłkiem dźwignęła powieki, lecz zamknęła je natychmiast. Przeciągała się, przesuwając głowę od jednego końca poduszki do drugiego i jakoś cicho, boleśnie, głucho jęczała. Co chwila otwierała usta, z wysiłkiem, jak karp, połykając powietrze.

Doktor powiódł oczami po nagich, wapnem wybielonych ścianach izby, dostrzegł okno źle opatrzone, przemokłe i zeschnięte trzewiki chorej — stopy książek leżące wszędzie: na ziemi, na stoliku, na szafce...

— Ach, ty szalona, ty głupia! — szeptał załamując ręce.

Gorączkowo, z trwogą i żalem zaczął ją badać, mierzył drżącymi rękami temperaturę.

— Tyfus... — wyszeptał blednąc.

Z wściekłością ścisnął sobie gardło, w którym dławiły go, niby zwitki pakuł, łyzy niezdolne wypłynąć. Widział, że jej nic nie pomoże, nic nie może pomóc — roześmiał się nagle, wspomniawszy, że po taką chininę lub antypirynę trzeba posyłać do Obrzydłówka... trzy mile. Panna Stanisława otwierała od czasu do czasu oczy szklane, bezmyślne, podobne do zastygłego pod powiekami płynu i patrzyła nic nie widząc przez długie, koliste rzęsy. Wołał na nią najczulszymi nazwami, unosił jej głowę słabo trzymającą się szyi — na darmo.

Usiadł bezwładnie na stołku i wpatrywał się w płomień lampy. Oto nieszczęście jak wróg śmiertelny zadało mu ślepy cios i wleczce teraz bezsilnego do jakiejś mrocznej pieczary, do jakiejś szczeliny bez dna...

— Co począć? — szeptał drżąc.

Przez szpary okna wdzierał się chłód burzy zimowej i przechodził przez izbę jak widmo złowieszcze. Zdawało się doktorowi, że go ktoś dotyka, że prócz niego i chorej jest w izbie ktoś trzeci...

Wyszedł do kuchenki i zakrzyknął na służącą, aby mu wołała natychmiast sołtysa.

Stara wdziała co tchu olbrzymie buty, okryła głowę „zapaską” i zabawnie podskakując znikła. Wkrótce potem zjawił się sołtys.

— Słuchajcie, nie znajdziecie mi człowieka, który by pojechał do Obrzydłówka?

— Teraz, panie doktorze, nie pojedzie... zawieja. Na śmierć pojedzie... Psa ciężko wygnać.

— Ja zapłacę, wynagrodzę.

— Nie wiem ja... przepytam się.

Wyszedł. Doktor Paweł ścisnął skronie, które zdawał się rozsadzać napływ krwi. Przysiadł na skrzynce i o czymś dawnym, dalekim myślał.

Dały się wkrótce słyszeć kroki: sołtys prowadził parobczaka w kożuszynie przedartej, niedosięgającej mu do kolan, w zgrzebnych spodniach, kiepskich butach i czerwonym szaliku na szyi.

— Ten? — zapytał doktor.

— Powiada, że pojedzie... śmiałek. Ja konia mogę dać, ale gdzież to w taki czas...

— Słuchaj, jeżeli wrócisz za sześć godzin, dostaniesz ode mnie dwadzieścia pięć, trzydzieści rubli, dostaniesz... co chcesz... słyszysz?

Chłopaczyna popatrzył na doktora — miał zamiar coś powiedzieć, ale się powstrzymał.

Utarł nos palcami, bokiem się odwrócił i czekał. Doktor powrócił do stolika nauczycielki i zaczął pisać. Ręce mu się trzęsły i skakały co chwila do skroni. Kombinował, pisał, przekreślał, dał papier. Wystosował list do aptekarza, prosząc, aby natychmiast wysłać konie do miasta powiatowego po tamtejszego lekarza, prosił o wysłanie mu chininy; nachylał się nad chorą, badał ją jeszcze. Wyszedł wreszcie do kuchni i wręczył list chłopakowi.

— Mój bracie — mówił jakimś nieswoim, dziwnym głosem, kładąc ręce na ramionach wyrostka i wstrząsając nim — co koń skoczy, co tchu... Słyszysz, mój bracie!...

Chłopiec skłonił mu się do nóg i wyszedł z sołtysem.

— Ta nauczycielka dawno tu u was we wsi siedzi?... — zagadnął doktor Paweł babinę, przytuloną do komina.

— Trzy zimy!... Jakoś bodaj.

— Trzy zimy. Nikt tu z nią nie mieszkał?

— A któż ta miał... ja jeno. Przygarnęło mię chudziatko... służby, powiada, już nie znajdziecie, babko, a u mnie ta roboty niewiele... aby ta, aby... Teraz masz: com sobie obiecywała, że mi trumnę sprawi, to ja... módl się za nami grzesznymi...

Zaczęła niespodziewanie szeptać modlitwę, odcinając wyraz od wyrazu i poruszając wargami jak wielbłąd. Głowa jej się trzęsła, zmarszczkami wlewały się łzy do ust bezzębnych.

— Dobra była...

„Babka” zaczęła chlipać śmiesznie i machać rękami, jakby pragnęła od siebie doktora odegnąć.

Wszedł do pokoju i zaczął na palcach chodzić po swojemu, dokoła... chodził, chodził... Zatrzymywał się od czasu do czasu przy łóżku i z gniewem, od którego bieleły mu wargi i wyszczerzyły się zęby, mówił do chorej:

— Niemądra byłaś! Tak żyć nie tylko nie można, ale i nie warto. Z życia nie zrobisz jakiegoś jednego spełnienia obowiązku: zjedzą cię idioci, odprowadzą na powrozie do stada, a jeśli się im oprzesz w imię swych głupich złudzeń, to cię śmierć zabije najpierwszą, boś za piękna, zbyt ukochana...

Jak płomień suche drewno, obejmowało go dawne, przeżyte, zapomniane uczucie; zjawiało się, porywające jak niegdyś i zabójczo słodkie. Wmawiał w siebie, że nigdy o niej nie zapomni, że do tej chwili ją uwielbiał i pamiętał... Przypatrywał się tej twarzy znajomej z jakąś nienasyconą ciekawością i cichy, przeszywający ból wjadał mu się w serce. Trzy lata tu mieszkała obok niego — dowiaduje się o tym, gdy mu umiera...

Wszystko, co go spotykało tego dnia, wydawało mu się jako dalszy ciąg udręceń przymusowo-borsuczego istnienia. Jednocześnie rozchyłał się jakiś tajemniczy horyzont, jakiś ocean ginący we mgłach. Po nerwach jego, aż do najdalszych ich gałązeczek, ściekały zimne dreszcze. Miotał się jak śliz na błotnistym dnie strumienia wychowany, gdy go zanurzyć w wodzie morskiej...

Toteż całym wysiłkiem rozpaczliwej niecierpliwości uchwycił się wspomnień, uciekł w nie przed nieznośną rzeczywistością, zatonał jak w obłoku mgły czerwcowego przedświt.

Za jaką bądź cenę pragnął być choćby przez chwilę sam, aby myśleć, myśleć...

Z pokoju nauczycielki wszedł przez małe drzwiczki do dużej izby, zastawionej ławkami i stolikami. Tam usiadł w ciemności i niby skupiając ducha, niby obmyślając środki ratunku, zaczął wspominać. Oto, co sobie przypomniał.

Jest ubogim studentem czwartego kursu. Idzie w poranek zimowy do szpitala, tak misternie stawiając nogi, by nie wszyscy przynajmniej widzieli, iż dziury w podszwach tekturą umiejętnie są pozatykane. Paltocik ma ciasny jak kaftan wariata, wytarty tak dalece, że Żyd letnią porą ośmiu zań złotych dać nie chciał. Bieda nastraja go pesymistycznie, wtrąca w jakiś stan ciągłego smutku, który jest czymś nieskończenie większym niż nuda przykra, lecz daleko mniejszym niż cierpienie. Można się z tego obudzić natychmiast: dość jest wypić kilka szklanek herbaty, zjeść befszytk — lecz herbaty nie pił i obiadu prawdopodobnie jeść nie będzie. Biegnie niemal po brunatnym błocie z ulicy Długiej, aby o trzy kwadransy na dziewiątą wchodzić w bramę Ogrodu Saskiego. Tam spotka panienkę, przejdzie obok niej, przyjrzy się ciężkiemu, długiemu, jasnopopielatemu jej warkoczowi... Ona nie podniesie oczu, zmarszczy brwi, podobne do prostych a wąskich skrzydełek jakiegoś ptaka.

Spotykał ją wówczas w tym samym miejscu codziennie. Szła szybko na Krakowskie Przedmieście, wsiadała do tramwaju i jechała na Pragę. Nie miała więcej nad siedemnaście lat, a wyglądała jak stare pannisko, w baszłyku zarzuconym niedbale na futrzaną czapkę, w kaloszach za dużych trochę na jej małe nogi, w niezgrabnej i niemodnej salopce. Niosła zawsze pod pachą jakieś kajety, arkusze zapisane, książki, mapy. Raz jeden, czując się w posiadaniu kilku dziesiątek przeznaczonych na obiad, postanowił zbadać, dokąd ona jeździ. Puścił się tedy w pogoń, wsiadł do tego samego, dziesięciogroszowego przedziału, lecz zaraz po zajęciu miejsca stracił całą odwagę. Nieznajoma zmierzyła go wzrokiem tak okropnej pogardy, że niezwłocznie wyskoczył z tramwaju, tracąc tym sposobem wazkę rosółu i nic nie wskórawszy.

Nie czuł jednak do niej żalu — tym wyżej, dalej się wzniosła. Myślał o niej pomimo woli, bezwiednie, bez przerwy. W ciągu całych godzin usiłował przypomnieć sobie, uprzytomnić jej włosy, oczy, usta o kolorze torebek owocu dzikiej róży — i wysiłał pamięć nadaremnie.

Zaledwie mu znikła z oczu, znikły z pamięci jej rysy — zostawało natomiast natrętne widmo, podobne do białego obłoku o niejasnych rysach, które szło przed nim gdzieś górą. Obłok ten goniły jego myśli z tęsknotą i pokorną bojaźnią, z odrobiną nieuchwytnego żalu, ze smutkiem i nieodegnaną sympatią. Szedł co rano, aby żywą dziewczynkę ze swym widmem porównywać. I wydawała mu się ta żywa piękniejszą, napawały go jakimś strachem jej kryniczne i mądre oczy...

Podówczas jeden z jego kolegów, tak zwany „Ruch w przestrzeni”, wielki „społecznik”, zaczynający wiecznie pisać wstępne artykuły, których dokończyć nie pozwalał mu brak potrzebnych po temu książek, nagle i niespodziewanie „wziął” i ożenił się z ubogą jak mysz kościelna emancypanką.

Żona wniosła „Ruchowi” w posagu stary dywan, dwa rondelki, gipsowy posąg Mickiewicza i kilkanaście nagród gimnazjalnych. Młodzi małżonkowie zamieszkali na czwartym piętrze i zaczęli zaraz po ślubie głodem przymierać. Udzielali oboje korepetycyj z takim zapałem, że rozbiegłszy się rano spotykali się dopiero wieczorem. Dom ich jednak stał się punktem, do którego zmierzał wieczorem każdy „społecznik” w zabłoconych sandałach, aby się wysiedzieć na fotelu, napalić cudzych papierosów, nagadać do ochrypnięcia i wydać ostatnie kilka groszy na składkę, za którą uprzejma gospodyni kupowała bułki i serdelki, układała artystycznie na talerzyku i częstowała gościnnie. Można się tam było zawsze z kimś spotkać, zaznajomić z nieznanymi do tej pory wielkimi ludźmi, z koleżankami gospodyni, a niejednokrotnie można było nawet pożyczyć czterdzieści groszy.

Jakże pobladł Obarecki z radości, gdy wchodząc pewnego wieczora do tak zwanego salonu ujrzał ukochaną swoją panienkę w gronie koleżanek! Rozmawiał z nią i aż do nieprzyzwoitości tracił przytomność... Wracając tego wieczora do domu pragnął być sam — nie marzyć ani myśleć, tylko być z nią całą duszą, wszystką ją mieć w oczach, w uszach mieć dźwięk jej głosu, tak myśleć jak ona, zamknąć powieki i niechaj idą pod nimi te obrazy, które wydzierają się z serca. Pamiętał jej oczy przedziwne, posępne a miłosierne, łagodne i tajemniczo myślące, w których przerażała jakaś głęбина. Doznawał uczucia radości i spokoju, jakby po skwarnej i dręczącej podróży doszedł do czystego stoku, ukrytego w cieniu sosen na wyżynie górskiej.

Otaczano ją szacunkiem, przywiązywano szczególną wagę do jej słów. „Ruch”, przedstawiając Obareckiego nieznaną jej, wydekłamał poważnie:

— Obarecki, refleksjonista, marzyciel, wielki leniuch, zresztą przyszła sława; panna Stanisława Bozowska, nasza „darwinistka”...

„Wielki leniuch” dowiedział się o „darwinistce” niewiele: ukończyła gimnazjum, dawała lekcje, miała zamiar jechać do Zurychu czy Paryża na medycynę, nie miała grosza przy duszy...

Spotykali się odtąd w „salonie” często. Panna Stanisława przynosiła pod salopką funt cukru, jakiś zimny kotlet w papierze, kilka bułek; Obarecki nic nie przynosił, ponieważ nic nie miał, pożerał za to bułki i pożerał oczami „darwinistkę”. Raz nawet, odprowadzając ukochaną do domu, oświadczył się o jej rękę. Roześmiała się serdecznie i pożegnała go przyjacielskim uściśnieniem ręki. Wkrótce potem znikła; wyjechała do guberni podolskiej jako nauczycielka do jakiegoś wielkopańskiego „domu”.

Spotyka ją teraz oto w tym zapadłym kącie, w tej wsi ukrytej w lasach, zamieszkaną przez chłopów samych, gdzie nie ma dworu, gdzie nie ma żywego ducha... Sama tu żyła w tej puszczy. Teraz umiera... zapomniana...

Wszystkie dawne zachwyty, niespełnione sny i pragnienia zrywają się nagle i biją w niego jak porywy wichru. Serce ściska mu ból chorobliwy i jad namiętności wsącza się nieznacznie w krew wzburzoną. Powrócił na palcach do łóżka chorej, oparł łokcie na jego poręczy i nasycił się widokiem nagich ramion, które cudownymi liniami kojarzyły się z zarysem piersi i szyi. Panienska spała. Na skroniach jej nabrzmiały żyły, z zagiętych ku dołowi kątów ust sączyła się ślina, gorąco od niej biło, powietrze wpadało do ust z głośnym świstem. Doktor Paweł usiadł obok niej na krawędzi łóżka, pieścił rękami miękkie końce promieni włosów, głaskał się nimi po twarzy, dotykał ich wargami z wydzierającym mu się z piersi szlochaniem.

— Stasiu, Stachno... kochanko... — szeptał cicho, aby jej nie obudzić — nie ucieczesz mi już... prawda? Nigdy... moja będziesz na zawsze... słyszysz... na wieki...

Usiadł potem obok wezglowia chorej na stołku i zapadł znowu w marzenia. Bujna młodość zbudziła się w nim z letargu. Wszystko teraz będzie inaczej. Czuje w sobie siłę atlety do pełnienia czynków, które z serca płyną. Boleść i nadzieja mieszają się jakby w płomień, który liże mózg, trawi go, nie da mu spocząć.

Noc mijała. Godziny upływały leniwo, lecz upłynęło ich już od wyjazdu posłańca więcej niż sześć. Była czwarta po północy. Doktor zaczął nasłuchiwać, zrywał się za każdym szelestem. Co chwila zdawało mu się, że ktoś idzie, że otwiera drzwi, że stuka w okno... Wsłuchiwał się całym niemal organizmem. Wiatr huczał, szyber w piecu kołatał — zresztą cisza znowu. I biegnały minuty trwające po sto lat, w ciągu których niecierpliwość rozpręży nerwy i wprawia go w stan dygotania całym ciałem.

Gdy po raz szósty mierzył temperaturę, chora otworzyła z wolna oczy, które w mroku rzęs wydawały się prawie czarnymi, patrzyła w niego z uporem i wyszeptała jakimś skrzeczącym głosem:

— Kto to?

Zapadła jednak zaraz w stan poprzedniego beczucia. Pocięsział się jak skarbem tą sekundą świadomości. Ach, gdyby mieć chininę, zmniejszyć jej ból głowy, powrócić przytomność... Posłaniec nie nadjeżdżał i nie nadjechał.

Przed świtem doktor Obarecki szedł wzdłuż wsi, po głębokich zaspach, łudzając się ostatnią nadzieją, że go zobaczy. Złe przecucie jak koniuszek igły wrzynało mu się w serce. W nagich gałęziach topoli przydrożnych głucho huczał wiatr, choć burza ucichła. Z chat wychodziły kobiety po wodę i dzwigały ją w konewkach, zagięte powyżej kolan. Parobcy „zadawali” bydłu, z kominów dym się wznosił. Tu i ówdzie z otwartych na chwilę drzwi wybuchał obłok pary.

Doktor odnalazł chatę sołtysa i kazał natychmiast zaprzęgać konie. Sprzężono ich dwie pary i jakiś parobczak zajechał przed szkołę. Doktor pożegnał chorą oczami rozszerzonymi od znużenia i rozpaczony, wsiadł na sanie i pojechał do Obrzydłówka. O godzinie dwunastej w południe powracał wioząc swą apteczkę, wino, całe zapasy żywności. Stawał co chwila na saniach, jakby pragnąc wyskoczyć i wyścignąć konie w cwał biegnące. Zajechał wreszcie przed szkołę, lecz nie wysiadał... Zdławiony krótki wrzask wydarł mu się z ust wykrzywionych prawie ukośnie, gdy ujrzał otwarte okna domostwa i gromadkę dzieci tłoczącą się w sieni. Szedł blady jak płótno do okna, zajrzał i został tam, łokciami oparty o futrynę.

W obszernej izbie szkolnej leżał na ławce rozebrany do naga trup młodej nauczycielki; dwie jakieś stare baby myły go... Drobne pyłki śniegowe wlatywały przez okno i osiadały na ramionach, na zmoczonych włosach, na półotwartych oczach umarłej.

Doktor poszedł do pokoiku nieboszczki, zgarbiony, jakby na ramionach dźwigał górę. Usiadł, nie rozbierając się, na krzeselku i powtarzał jeden wyraz, w który zmieściła się wszystka jego boleść:

— Czyż tak? Czyż tak?

Było mu zimno, jakby zmarzył, zmartwiał, jakby w nim krew zakrzepła. Nie cierpiał, nie wiedział, co mu jest, tylko po głowie toczyły mu się niby koła nienasmarowane z przeraźliwym skrzypieniem.

Łóżko Stasi było rozmięcione: kołdra leżała na ziemi, prześcieradło zwieszało się na podłogę, poduszka przepocona leżała na środku łóżka. Druciane haczyki okien stukwały monotonicznie o ramy szyb; listki jakiejś rośliny, moknące w doniczce, zwieszały się i zwijały od mrozu.

Przez uchylone drzwi widział chłopów klękających dokoła ubranego już trupa, dzieci modlące się „na książce”, stolarza zdejmującego miarę na trumnę...

Wszedł tam i ochryłym głosem rozkazał, aby zbić trumnę z czterech desek nieheblowanych, wiórów pod głowę nasłać.

— Nic więcej... słyszysz! — mówił do stolarza z tajoną wściekłością — cztery deski, nic więcej...

Przypomniał sobie, że trzeba kogoś zawiadomić... rodzinę. Gdzież jest ta jej rodzina?...

Zaczął z tępą, idiotyczną zapobiegliwością układać na jeden stos książki, rejestry szkolne, kajety, jakieś rękopisy. Natrafił wśród papierów na początek listu.



*Kochana Helenko!*

*Od kilku dni czuję się tak źle, że prawdopodobnie przeniosę się przed oblicze Minosa i Radamantesa, Eakosa i Tryptolemosa oraz innych wielu z półbogów, którzy itd. W razie tego „przesiedlenia się stąd na miejsce inne” zechciej zażądać od wójta mojej gminy, aby pozostała po mnie spuściznę książkową na ręce twoje wysłał. Opracowałam nareszcie Fizykę dla ludu, nad którą tyle nałamałyśmy sobie głów dziewiczych: opracowałam na brudno — niestety! Jeżeli ci czasu starczy — zawsze w razie mego przesiedlenia się na miejsce inne — uszykuj to do druku i zmusz Antosia, niech przepisze; on to dla mnie zrobi. Ach, co za smutek!... Prawda!... Księgarzowi naszemu winnam jednaście rubli kopiejek sześćdziesiąt pięć... wypłać mu... Spencerem moim, gdyż pustki u mnie w szkatule. Sobie na pamiątkę weź...*

Ostatnie wyrazy nieczytelnymi już były pisane kreskami. Nie było adresu — nie można też było listu wysłać. W szufladzie stolika znalazł doktor rękopis owej Fizyki, o którym w liście czytał, zwitki notatek i szpargałów, w szafce — trochę bielizny, salopkę kotkami podbitą, jakąś starą czarną sukienkę...

Krzążając się po pokoiku, dostrzegł w izbie szkolnej chłopaka, który jeździł po lekarstwo; stał przytulony w kącie obok pieca, przestępując z nogi na nogę. Zwierzęca nienawiść zadrgała w duszy doktora.

— Dlaczegoś na czas nie wrócił? — zawołał przyskakując do chłopca.

— Zabłądziłem na polu, koń mi ustał... piechotą przyszedłem rano... panienska już wtedy...

— Kłamiesz!

Chłopiec nie odpowiedział. Spojrzał mu doktor w oczy i dziwnego doznał wrażenia; oczy te były zmęczone i straszne, wyglądała z nich, jak z podziemnej jaskini, chłopska, głupia, zdziczała rozpacz, podobna do niedocieczonej tajemnicy.

— Ja tu, panie, odniosłem książki, co mi ta nauczycielka pożyczyła — mówił wyciągając z zanadru kilka wyszarzałych i zabrudzonych tomików.

— Daj ty mi pokój... idź precz! — zawołał doktor, odwracając się od niego i uciekając do pokoiku.

Tam stanął wśród porozrzucanych na podłodze rupieci, papierów, książek i ze śmiechem pytał sam siebie:

— Czego ja tu chcę?... Nic tu po mnie, nie mam prawa!

Obejmowała go cześć głęboka, zrozumienie, wwiadywanie się pilne, wielka pokora. Gdyby tam zostawał choćby godzinę dłużej, doszedłby do tego szczytu łańcucha gór, na którym siedzi szaleństwo. W sekrecie przed samym sobą wiedział, że go zdejmuje obawa o siebie. W tym wszystkim, co go miażdżyło owej chwili, była ogromna niesymetria z nim samym, coś, co wyważało z głębi jego duszy ostateczny rdzeń uczuć ludzkich: egoizm i — egoizm ten dusząc — kazało naprawdę dać się otaczać tęczy, która uniosła z ziemi tę głupią dziewczynę. Trzeba uciekać co prędzej... Zgodziwszy się na wyjazd natychmiastowy zaczął rozpaczać pięknymi frazesami, co było już ulgą znaczną.

Kazał zajechać...

Pochylił się nad trupem Stasi i szeptał na jej uczczenie najpiękniejsze wyrazy, jakie wymarzyć mogły na chwałę wielkości puste serca ludzkie. Zatrzymał się raz jeszcze we drzwiach, obejrzał; przez sekundę myślał, czy nie lepiej by było umrzeć natychmiast, potem rozsunął gromadę chłopów przed drzwiami, wskoczył na sanie, przewrócił się na twarz i poniosły go konie, duszącego się spazmatycznym płaczem.

Śmierć panny Stanisławy wywarła wpływ niejaki na usposobienie doktora Pawła. Przez pewien czas czytywał w wolnych chwilach Boską komedię Dantego, w winta nawet nie grywał, gospodynię dwudziestoczteroletnią odprawił. Stopniowo jednak uspokoił się.

Obecnie ma się znakomicie: utył, pieniędzy worek uczciwy nazbijał. Ożywił się nawet; dzięki jego usilnej agitacji wszyscy prawie optymaci obrzydłowscy, z wyjątkiem krzykliwych, prawda, ale też nielicznych konserwatystów, zaczęli palić papierosy w gilzach niesklejanych, zaszczytnie znanych pod godłem „nieszkodliwych piersiom”. Nareszcie!...